WIDMOWA KRAINA

PATRICK LEE

POUFNE, NIE POWIELAĆ

WYMAGANE ZEZWOLENIE SPECJALNE ATOLL 6

[a] Kodeks Przepisów Federalnych Stanów Zjednoczonych 403/paragraf 2.1.1.

[b] Biały Dom, dyrektywa specjalna

3 sierpnia 1978 roku

DEKRET PREZYDENCKI 1978-AU3

Definicje i terminy prawne zawarte w tym dokumencie będą obowiązywać wszystkich sygnatariuszy UMOWY SPECJALNEJ USTANAWIAJĄCEJ ORGANIZACJĘ TANGENT (dalej USUOT).

SZCZELINA – oznacza anomalię fizyczną znajdującą się na terenie byłego Wielkiego Zderzacza Jonów w Wind Creek w stanie Wyoming. Całkowita systemowa awaria WZJ z 7 marca 1978 roku stworzyła, w sposób nieznany, SZCZELINĘ. SZCZELINA może być mostem Einsteina-Rosena (za: *Raport z badania wypadku WZJ*).

OBIEKT SPECJALNY – oznacza każdy przedmiot wyłaniający się ze SZCZELINY. Do dnia dzisiejszego OBIEKTY SPECJALNE pojawiają się z częstotliwością od trzech do czterech dziennie (za: *Badanie natury wypadku WZJ*). OBIEKTY SPECJALNE są przedmiotami o charakterze technicznym, zaprojektowanymi w sposób przerastający możliwości ludzkie. W większości przypadków ich funkcje nie są rozpoznawalne przez badaczy pracujących na miejscu, w Wind Creek.

MIASTECZKO GRANICZNE – oznacza podziemny kompleks badawczy zbudowany na terenie, na którym doszło do

awarii WZJ, mieszczący stanowiska pracy i kwatery uczonych badających SZCZELINĘ oraz personelu ochrony. Wszyscy sygnatariusze USUOT zgodnie postanawiają, że MIASTECZKO GRANICZNE wraz z otaczającymi je terenami (patrz: *Powołanie strefy wyłączności organizacji Tangent*) jest suwerennym państwem pozostającym pod wyłączną władzą i kontrolą organizacji Tangent.

Niniejszy dokument jest prawnie wiążący. Jego postanowienia wchodzą w życie 3 sierpnia 1978 roku ze skutkiem natychmiastowym.

POUFNE, NIE POWIELAĆ

Rozdział pierwszy

Pięćdziesiąt sekund przed pierwszym wymierzonym w kawalkadę samochodów strzałem Paige Campbell myślała o upadku Rzymu. Miasta, nie cesarstwa. Cesarstwo upadało etapami. Jest wiele dat, o które historycy mogą się spierać i nazywać ostatecznymi, ale wszyscy zgadzają się, że miasto upadło 24 sierpnia 410 roku. Tysiąc sześćset jeden lat temu, z dokładnością do tygodnia. Paige znała tylko datę, poza tym żadnych szczegółów. Kiedyś chciała być historykiem, nim zdecydowała się zająć czymś zupełnie innym, lecz nigdy nie interesowała się tą częścią świata i tym okresem. Datę pamiętała z zajęć z historii Europy w szkole średniej. Mimo to czasami o tym myślała. Zadawała sobie pytanie, czy mieszkańcy miasta, choćby krótko przed faktem, wiedzieli, że będą świadkami końca. Teraz też zadała sobie to pytanie, a potem odwróciła się do okna. Patrzyła na Waszyngton, cofający się, niknący w zapadającej nocy. Pomnik Waszyngtona i kopuła Kapitolu już rozjaśniły się w ciemności. Na niebie błyskały światła pozycyjne samolotu, który właśnie wystartował z lotniska krajowego Reagana. Przez szybę

wpadały światła reflektorów samochodów jadących za nimi i wyjeżdżających z przecznic. Billboardy, wystawy sklepowe, jarzeniówki, blask sięgający niskich, otulających miasto jak kołdra chmur; infrastruktura współczesnego świata, sprawiająca wrażenie, jakby miała trwać wiecznie.

Spojrzała przed siebie. Kolumna zmierzała Suitland Parkway na wschód, z powrotem do bazy Andrews, gdzie ona i inni wylądowali zaledwie kilka godzin temu. Północ minęła przed siedmioma minutami. Droga była mokra od padającego od chwili ich przybycia deszczu. Na chodniku odbiły się światła stopu jadącego przed nimi samochodu. Paige znajdowała się w ostatnim pojeździe w kawalkadzie. Obok niej siedział Martin Crawford. A za nimi, na tylnym siedzeniu, w zamkniętej walizce, znajdowało się coś, co było przyczyną ich wizyty w Waszyngtonie. Obiekt specjalny Szczeliny, który właśnie zaprezentowali publiczności – składającej się z jednej osoby.

– Nie oczekiwałam, że zachowa się tak spokojnie – powiedziała Paige. – Myślałam, że trudniej mu przyjdzie uwierzyć w istnienie czegoś takiego.

– Widział to na własne oczy – zauważył Crawford. – Dowód trudny do podważenia.

– Mimo wszystko. Przecież jest nowy. To był jego pierwszy obiekt specjalny... i jeszcze taki!

– Ale jest też prezydentem. Wiele widział.

Po drugiej stronie pasa zieleni przemykały samochody jadące w przeciwnym kierunku. Paige przyglądała się pryskającej spod kół rozpylonej wodzie.

– Myślałam, że się przestraszy. Myślałam, że kiedy go zobaczy, przerazi się jak my wszyscy.

– Może umie dobrze udawać?

– Myślisz, że potrafi pomóc nam zrozumieć? – spytała Paige. – Pomóc powstrzymać, cokolwiek nadchodzi?

– Przecież nie wiemy jeszcze, co nadchodzi.

– Wiemy, że nic dobrego. I wiemy, że nie minie wiele czasu, nim się pojawi.

Crawford skinął głową. Patrzył przed siebie. Miał siedemdziesiąt cztery lata i na tyle wyglądał; jedynie jego oczy nie zmieniły się chyba od kilku dekad. W tej chwili malował się w nich niepokój.

Paige spojrzała w lusterko wsteczne i zobaczyła swoją twarz. Nie dostrzegła kurzych łapek – miała zaledwie trzydzieści jeden lat – lecz wiedziała, że przy tej pracy szybko się pojawią.

Obróciła się. Walizka z obiektem specjalnym leżała na tylnym siedzeniu, widoczna w rozszczepionych przez wodę i szyby samochodowe światłach miasta. Paige przypomniała sobie, co powiedziała prezydentowi: że obiekt ten można uznać za narzędzie badawcze stwarzające warunki do niezwykłego odbioru naszego świata. Że dzięki niemu można szukać czegoś, czego nie znajdzie się w żaden inny sposób.

W tej chwili ruszali na poszukiwania; chcieli znaleźć odpowiedzi na pytania męczące ich od niecałych dwóch dni. Paige myślała o Yumie w stanie Arizona, początkowym etapie poszukiwań. To tam po raz pierwszy zrobią użytek z obiektu. Być może to tam znajdą dowody, tak oczywiste, że trudno je przeoczyć.

A może nie? Może ich tam nie będzie? Może nie będzie ich nigdzie?

Próbowała przegonić te myśli. Patrzyła przed siebie, przez

pokrytą kroplami deszczu przednią szybę samochodu. Kątem oka dostrzegła, że Crawford obrócił się do niej; chciał coś powiedzieć, ale tylko przekrzywił głowę. Nasłuchiwał. Ona też coś usłyszała. Gdzieś przed nimi coś się działo. Przez wzmocnione szyby opancerzonego SUV-a dobiegał taki dźwięk, jakby karty do gry dostały się między szprychy obracającego się koła rowerowego. Ale Paige wiedziała, że to nie jest to. Czuła, że jej serce bije mocniej, szybciej. Pochyliła się, spojrzała przed siebie, nad zagłówkiem fotela kierowcy, a w następnej sekundzie wszystko się zaczęło.

Jadący przed nimi SUV zahamował i spróbował skręcić. Za późno. Uderzył w tył poprzedzającego go samochodu i się obrócił. Reflektory oślepiły Paige. Jej kierowca szarpnął kierownicę w lewo, lecz także się spóźnił. Zderzenie nie przypominało niczego, z czym zetknęła się dotychczas – zupełnie jakby ktoś chwycił słup telefoniczny i walnął nim w maskę ich wozu niczym kijem baseballowym. Pasy wpiły jej się w pierś i wypchnęły powietrze z płuc. Przez chwilę walczyła o oddech, a świat wokół niej jakby się przesunął, przechylił za oknem samochodu o czterdzieści pięć stopni... i więcej. SUV stracił przyczepność, przewrócił się na dach. Słupki nie wytrzymały i szyby, choć wzmocnione, najpierw się wygięły, a potem wyskoczyły z ram.

Dotarły do niej odgłosy prawdziwego świata. Noc wypełnił niski grzechot broni automatycznej, zapewne więcej niż jednej sztuki. I nie był to żaden mały kaliber, o nie, raczej coś ogromnego. Lekki pistolet maszynowy? Nie ma mowy. Kaliber 7,62? Wykluczone. Raczej browning M2, tak to brzmiało. Pociski pięćdziesiątki, wielkości ludzkiego palca, trzykrotnie szybsze od dźwięku. Paige wisiała głową w dół,

na pasach nadal zaciskających się na jej piersi i uniemożliwiających oddychanie. Przez huk strzałów przebijał się inny dźwięk, mający źródło bliżej i przypominający stuk kropel deszczu padających na arkusz blachy, tyle że stokrotnie wzmocniony. To kule uderzały w karoserię, każda kolejna głośniej. Paige doskonale wiedziała, dlaczego tak jest. Strzelcy metodycznie ostrzeliwali samochody konwoju, jeden po drugim. Swą robotę wykonywali dokładnie.

– Paige?

Odwróciła się. Crawford leżał na zmiażdżonych drzwiach od strony pasażera, z głową przekrzywioną i opartą o dach SUV-a. Wyglądał tak, jakby bardzo starał się nie okazać strachu. Wiedział, co zdarzy się za chwilę.

Próbowała się zorientować, czy dwaj siedzący z przodu mężczyźni są przytomni, czy nie. Nie zdołała. Wywrotka spłaszczyła samochód tak, że zagłówki przednich siedzeń dotykały dachu. A pomiędzy nimi była tylko ciemność.

Pociski uderzały już w karoserie blisko nich. Niszczyły samochód z przodu. Paige znów odwróciła się w stronę Crawforda. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Wyglądało to jak pożegnanie.

– Zaczęło się – powiedział Crawford. – Cokolwiek to jest, właśnie się zaczęło. Prezydent jest tego częścią.

Paige skinęła głową. Już wszystko rozumiała. Ze zrozumienia zrodził się gniew wystarczająco silny, by zrównoważyć strach.

Nagle ucisk na piersi zelżał, mogła oddychać, wciągnęła haust powietrza, a pół sekundy później pociski uderzyły w ich samochód. Zamknęła oczy. Dźwięk był głośniejszy, niż się spodziewała, odgłos rozdzieranego metalu rozrywał uszy.

Nie potrafiła odróżnić go od krzyków ludzi. Nie wiedziała, czy sama też krzyczy. W pewnej chwili poczuła, że zalewa ją jakiś płyn. Krew? Raczej nie. Ranni, którzy przeżyli wypadek, twierdzili, że własna krew na skórze jest jak ciepła woda, a ona czuła chłód. Jeszcze raz odetchnęła głęboko, rozpoznała zapach benzyny i zrozumiała.

W tym momencie zakończyła się strzelanina.

A ona nadal żyła.

Zapanowała cisza. Paige otworzyła oczy. Czuła na sobie wylewającą się benzynę. Benzyna gromadziła się też w zagłębieniach zgniecionego dachu.

Spojrzała na Crawforda. Odszedł. Oczy miał szeroko otwarte, patrzył na nią, ale nie żył. Dostał kulę wprost w pierś. Wyglądało to tak, jakby jakieś wielkie zwierzę odgryzło mu kawał klatki piersiowej wraz z płucem i częścią serca. Zza jego ciała, przez puste miejsce, gdzie wcześniej było okno, dochodziły nawoływania. Rozległ się trzask. Broń krótka, może czterdziestkapiątka. I znowu głosy, coraz bliższe. Ale oprócz metra czy dwóch jezdni niczego nie widziała. To przez kąt, pod jakim zatrzymał się samochód.

Znalazła zapięcie pasów. Zwolniła je. Opadła ciężko na dach SUV-a. Głowę miała na wysokości okna, widziała przez nie zatrzymaną kawalkadę, strzaskane wozy, otwarte drzwi pojazdów; z jednego z nich wystawało ramię, z którego ciekła krew.

Napastnicy szli wzdłuż samochodów, badając wszystkie po kolei. Dostrzegła człowieka z pistoletem – i drugiego, z urządzeniem przypominającym notes elektroniczny; w ciemności jego twarz świeciła odbitym blaskiem ekranu. Właśnie przechodzili od pierwszego wozu do drugiego.

Zatrzymali się przy nim, po stronie pasażera. Mężczyzna z notesem wciskał przyciski, raz za razem. Jego twarz to pojawiała się, to znikała w cieniu. Paige domyśliła się, że przegląda zdjęcia.

– On to miał? – spytał mężczyzna z pistoletem.

Jego towarzysz przejrzał jeszcze kilka zdjęć.

– Nie. Ochrona – odpowiedział.

Ten pierwszy wsunął pistolet przez okno. Rozległ się pojedynczy strzał. Następnie obaj zajęli się sprawdzaniem pozostałych pasażerów.

Paige zorientowała się nagle, że oddycha coraz szybciej. Na małej przestrzeni przesyconej oparami benzyny lada chwila mogła stracić przytomność. W drugim samochodzie mordercy znaleźli kolejnego rannego, sprawdzili go, a kiedy okazało się, że to nikt ważny, zabili.

Obróciła się i podparła łokciami. Rozejrzała się dookoła. Okno po przeciwnej stronie, przez które mogłaby wydostać się niezauważona, zgniecione, miało wysokość może dziesięciu centymetrów. Nie przeciśnie się przez nie, nie ma mowy. Przednie i tylne też nie umożliwiały ucieczki. Gdyby przepełzła między przednimi siedzeniami i przecisnęła się przez przednią szybę, zostałaby natychmiast dostrzeżona. Do tylnej nie była w stanie się dostać. Oparcia środkowej kanapy, na której siedziała przed atakiem, teraz niemal dotykały dachu. Szczelina między nimi miała około trzech centymetrów szerokości.

Obiekt.

Gdyby dostała się do obiektu, być może udałoby jej się zniknąć. Ale jego użycie wymagało przestrzeni, co najmniej trzech wolnych metrów. Oznaczało to, że musi wyjść na

maskę. Niemal zdradzić swoje położenie. Jednak włączenie obiektu zajmie jej zaledwie kilka sekund, a potem, jeśli będzie wystarczająco szybka, zniknie, jakby jej nigdy nie było.

Wsunęła rękę w wąską szczelinę między oparciem a dachem. Wyściółka ugięła się lekko, podobnie jak miękka tkanka ramienia, mimo to sięgnęła w głąb – nie więcej niż dwadzieścia parę centymetrów. Przesunęła dłoń w lewo i w prawo. Wyprostowała palce.

Nic.

Być może brakowało zaledwie centymetra, dwóch, ale ten centymetr czy dwa wystarczały. Spróbowała jeszcze raz. To samo. Do oczu napłynęły jej łzy. Chciała wierzyć, że to tylko przez opary benzyny.

Kolejny strzał. Bliższy. Spojrzała. Zabójcy stali przy trzecim samochodzie kawalkady. Ma najwyżej pół minuty, nim ją znajdą.

Mogła zrobić tylko jedno. Nie sądziła, by starczyło jej czasu, ale co, do diabła, miała do stracenia? Cofnęła rękę, obróciła się na bok i wyjęła z kieszeni telefon komórkowy. Włączyła go i weszła na listę zapisanych makr. Nie da się szybko wybrać numeru telefonu w Miasteczku Granicznym: dzwonisz, wpisujesz kod, wybierasz numer wewnętrzny, po nim kolejny kod... Zapisanie makra załatwiało to w jakąś sekundę. Znalazła to, którego szukała, wcisnęła wybieranie, czekała. Wreszcie usłyszała sygnał.

– Tylko bądź przy telefonie – szepnęła.

Zabójcy debatowali nad kolejną ofiarą w trzecim samochodzie. Zdaje się, że nie mogli dojść do porozumienia, czy żyje, czy nie. Ten z notesem elektronicznym przeglądał zdjęcia.

Telefon dzwonił... i dzwonił... i dzwonił...

Zabójca z notesem skinął głową. On i drugi mężczyzna wyciągnęli ofiarę z samochodu.

Czwarty sygnał przerwało kliknięcie oznaczające, że połączenie zostało przyjęte. Paige zaczęła mówić, nim osoba po drugiej stronie zdążyła powiedzieć „halo”. Mówiła szybko, bardzo szybko, miała tylko nadzieję, że to, co mówi, da się zrozumieć. Nie miała czasu na powiedzenie wszystkiego, co powinna powiedzieć. Może poradziłaby sobie w minutę, z wielkim trudem, tyle że nie miała nawet minuty. Na bieżąco ustalała więc hierarchię ważności. Nie wolno jej było pominąć żadnej istotnej informacji.

Coś jednak pominęła. Niepokoiło ją to, nie pozwalało o sobie zapomnieć.

– Cholera, co jeszcze...? – szepnęła.

Widziała, jak mordercy obracają się w jej kierunku. Usłyszeli jej głos, już biegli, głośno tupiąc po mokrym asfalcie.

O czym, do diabła, nie pamiętała?!

Głos w słuchawce spytał, czy wszystko z nią w porządku.

I wtedy sobie przypomniała.

Ubrała to w najprostszą możliwą do wymyślenia w tej chwili formę i wykrzyczała do telefonu; zaledwie skończyła, a już przez okno wsunęły się ręce, złapały ją i wyciągały z samochodu za łydki. Chwyciła telefon w obie dłonie i przełamała go. Słyszała, jak obwody drukowane pękają z trzaskiem niczym zwietrzałe krakersy.

Leżała na chodniku. Obrócono ją na wznak, przytrzymano pod lufą. Światło na twarzy mordercy z notesem zamigotało; sprawdzał zdjęcia. Spojrzała za jego plecy, zobaczyła

wyciągnięte z trzeciego wozu ciało. Było jasne, dlaczego zostawili je w spokoju – uderzenie pocisku niemal oderwało nogę tuż nad kolanem. Trzymała się na skórze i kilku strzępkach mięśni. Krew tryskająca z rozerwanej tętnicy udowej rozlała się na chodniku. Płynęła z rany cienką strużką. Niewiele jej już zostało.

Morderca z notesem elektronicznym nadal przeglądał zdjęcia. Za plecami słyszała głosy – za jej samochodem poruszali się jacyś mężczyźni; skopywali okruchy szkła, klękali, grzebali w środku, klnąc pod nosem. Plastikowe opakowanie obiektu specjalnego lekko trzasnęło, zaszurało po betonie. Szybkie, oddalające się kroki... zabrali je ze sobą, zmierzali w tę stronę, gdzie zaczęła się strzelanina.

Notes nad jej głową przestał migać. Trzymający go morderca spojrzał na nią z góry. Biegał oczami od jej twarzy do ekranu i z powrotem.

– Ty się nim opiekujesz?

– O tak.

Rozdział drugi

Travis Chase jadł lunch sam, przy rampie załadunkowej numer cztery. Siedział wygodnie ze zwieszonymi nogami. Nad parkingiem płynęła nocna mgła przesiąknięta zapachami spalonego paliwa, mokrej nawierzchni, hamburgerów, a zza parkingu i wąskiego chodnika, z biegnącej tamtędy I-285, dochodził to rosnący, to opadający niczym załamująca się fala dźwięk silników samochodowych. Za I-285 rozciągało się miasto, Atlanta: rozległe, skąpane w rozproszonym pomarańczowym blasku neonów, o drugiej nad ranem pomrukujące tylko leniwie.

Magazyny za plecami Travisa pogrążone były w ciszy. Tylko czasami zakłócały ją dźwięki dobiegające z pokoju pracowników, mieszczącego się na ich południowym skraju: stłumione przez odległość rozmowy, trzask otwieranej i zamykanej kuchenki mikrofalowej, zgrzytnięcie krzesła po podłodze. Wchodził tam jedynie po to, by włożyć lunch do lodówki, a potem – by go wyjąć.

Przy granicy parkingu coś się poruszyło, coś niskiego, przylegającego do nawierzchni. Kot wybrał się na łowy.

Biegł i zatrzymywał się, aż skoczył pod kontener na odpady. O tym, że dopadł ofiary, świadczyły tylko pisk i ciche odgłosy walki, stłumiony tupot miękkich łap na stali. A potem wszystko umilkło – wszystko poza szumem dobiegającym z autostrady.

Travis skończył lunch. Zgniótł brązową torbę i rzucił ją łukiem do stojącego obok zgniatarki pojemnika. Obrócił się, podciągnął nogi, umieścił je skosem na betonie. Oparł się o wypełniony betonem stalowy słup, na którym wisiała brama. Przymknął oczy. Czasami udawało mu się przedrzemać w ten sposób kilka minut, ale przeważnie po prostu odpoczywał. Wyłączał się. Próbował nie myśleć, nie pamiętać.

. . .

Zmianę kończył o wpół do piątej. W tej ostatniej godzinie sierpniowej nocy ulice były puste. Nim poszedł do siebie, ze skrzynki pocztowej wyjął listy. Dwie oferty kart kredytowych, rachunek za gaz, reklama sklepu spożywczego. Wszystkie zaadresowane do Roba Pullmana. Widok tego nazwiska na kopercie nie wywoływał w nim już żadnej reakcji. Było jego, tak jak adres. Od przeszło dwóch lat nikt nie nazwał go Travisem Chase'em – słowa te nie zostały użyte ani podczas rozmowy, ani w korespondencji.

W tym czasie widział je zaledwie raz, i to nie napisane, lecz wyryte. „Travis Chase". Przed półtora rokiem, pewnej wtorkowej nocy, ruszył do Minneapolis. Prowadził czternaście godzin. Obliczył sobie drogę tak, by dotrzeć na miejsce, gdy będzie ciemno. W końcu stanął nad własnym grobem, bardziej okazałym, niż przypuszczał: na podstawie wielka marmurowa płyta, całość miała ponad metr wysokości. Pod

jego nazwiskiem i datami znajdował się jeszcze cytat z Ewangelii świętego Mateusza (5,6). Musiał zadać sobie pytanie, ile jego brata to wszystko kosztowało. Przyglądał się swemu nagrobkowi przez jakieś pięć minut, odwrócił się, odszedł, a godzinę później zjechał na parking przy autostradzie. Płakał jak dziecko.

Potem w ogóle o tym nie myślał.

Wszedł po schodach do mieszkania. Rzucił pocztę na kuchenny blat. Zrobił sobie kanapkę, wyjął z lodówki dietetyczną colę. Zjadł i wypił, stojąc oparty o zlew. Dziesięć minut później leżał w łóżku. W mroku wpatrywał się w sufit. W jego sypialni okna znajdowały się na dwóch ścianach. Otworzył oba, wywołując lekki przeciąg; powietrze było gorące, ale przynajmniej się poruszało. W mieszkaniu nie było klimatyzacji. Przymknął oczy. Wsłuchiwał się w nocny szum miasta wpływający do pokoju z falami upału. Czuł, jak powoli zbliża się sen. Już niemal spał, gdy przed jego dom podjechał samochód. Zwolnił, skręcił na parking, światła reflektorów przesunęły się po suficie. Zatrzymał się, ale kierowca nie wyłączył silnika. Po prostu czekał. Trzasnęły drzwi. Rozległ się cichy tupot szybkich kroków. Zabrzęczał dzwonek.

Travis otworzył oczy.

Doskonale wiedział, kim jest gość.

Facet w mieszkaniu obok miał dziewczynę. Z upodobaniem pojawiała się u niego w środku nocy kompletnie pijana, marząca tylko o tym, by się z kimś pokłócić. Ostatnim razem, przed trzema tygodniami, próbował ją zignorować. W odpowiedzi zaczęła wciskać wszystkie przyciski na domofonie, aż ktoś się poddał i otworzył drzwi, tak że mogła

pójść na górę i walić pięściami w te, o które chodziło jej od samego początku. Skoro strategia okazała się wówczas skuteczna, dziś postanowiła ją powtórzyć. Sprytnie.

Dzwonek zabrzęczał znowu.

Travis zamknął oczy. Czekał, aż przestanie dzwonić.

Za trzecim razem zorientował się, że coś jest nie tak: nie rejestrował dzwonków do innych drzwi, tylko do swoich. A powinien je słyszeć, bo ich niski dźwięk z łatwością przenikał przez ściany. Poprzednim razem ich nie przegapił.

Ktoś chciał się dostać do jego mieszkania. Tylko jego i nikogo innego.

Wstał z łóżka, podszedł do okna, przycisnął twarz do siatki tak, by móc zobaczyć drzwi wejściowe.

Przed drzwiami dostrzegł dziewczynę, ale nie sąsiada i nie pijaną. Stała na chodniku, w pewnej odległości od domofonu. Przycisnęła guzik, cofnęła się. Patrzyła na otwarte okno sypialni Travisa – patrzyła na nie, nim do niego podszedł – a teraz, kiedy go ujrzała, drgnęła i skuliła się. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej. Parę metrów dalej, na ulicy, stała taksówka z włączonym silnikiem.

Dziewczyna wyglądała na jakieś dwadzieścia lat, ale z tej odległości trudno było to dokładnie ocenić. Mogła być młodsza. Miała jasnobrązowe włosy do ramion i wielkie oczy ukryte za zasłaniającymi jedną czwartą twarzy okularami – albo od pięciu lat niemodnymi, albo o pięć lat wyprzedzającymi modę.

Widział ją po raz pierwszy w życiu. Ale ona go znała, choćby ze zdjęcia. Świadczyła o tym jej mina. Rozpoznała go przy słabym świetle lampy parkingowej.

Dziewczyna zeszła z betonowego chodnika na trawnik.

Zrobiła trzy kroki w stronę okna. Nie spuszczała wzroku z jego twarzy. Zatrzymała się, przez krótką chwilę stała nieruchomo, a potem powiedziała:

– Travis.

. . .

Wszystkie możliwości Travis zanalizował w czasie koniecznym do włożenia dżinsów i podkoszulka. Nie było ich wiele. Pomyślał o Paige, która w lecie przed dwoma laty stworzyła tożsamość Roba Pullmana. Widział, jak wprowadza ją do wszystkich liczących się baz danych: federalnych, stanowych i lokalnych. Dane obejmowały minione czterdzieści lat. Następnie wymazała wszelkie cyfrowe ślady pozostałe po tej operacji, nawet ze swojego komputera w Miasteczku Granicznym. Nie zachowało się po niej zupełnie nic. Skojarzenie jego nowego nazwiska ze starym było równie prawdopodobne, jak odtworzenie rzeźby z lodu z kubełka wody, w którym ją stopiono.

Tę dziewczynę mogła przysłać wyłącznie ona, nikt inny.

Wyszedł z mieszkania. Zbiegł po schodach. Dziewczyna czekała na niego przy szklanych drzwiach wejściowych. Zwolniła już taksówkę.

Otworzył drzwi i wyszedł przed budynek.

– Co się dzieje? – spytał. – O co chodzi?

Z bliska dziewczyna wyglądała na znacznie bardziej zdenerwowaną. Przez ramię przewieszony miała plecak, bawiła się jego paskiem. Coś w jego zachowaniu musiało ją zaniepokoić. Przez chwilę wydawało mu się, że chce się cofnąć, jednak tego nie zrobiła.

– Ty prowadzisz – rzuciła. – Ja będę mówić.

. . .

– I-dwieście osiemdziesiąt pięć. Lotnisko Hartsfield-Jackson.

Travis wyjechał z parkingu i skręcił w prawo.

Dziewczyna chciała powiedzieć coś jeszcze, ale w tym momencie rozległ się dźwięk telefonu komórkowego. Obróciła się na siedzeniu i wyjęła go z kieszeni. Wcisnęła „zieloną słuchawkę", po czym oparła aparat na plecaku, który, usiadłszy, położyła sobie na kolanach.

– Halo?

– Pani Renee Turner? – spytał męski głos.

– Tak.

– Mówi Richard z Falcon Jet. Dzwonię, by poinformować, że pani samolot jest zatankowany i gotowy do startu, gdy tylko wyda pani takie polecenie. Lot do Waszyngtonu, na lotnisko Dullesa, potrwa godzinę piętnaście minut. Czy pani gość ma jakieś specjalne wymagania dotyczące napojów alkoholowych?

Dziewczyna spojrzała na Travisa. Ten wzruszył ramionami.

– Wystarczy nam to, co jest na pokładzie – odparła. – Wkrótce będziemy na miejscu.

– Doskonale.

Przerwała połączenie i odłożyła telefon na półeczkę pod przednią szybą. Nadal wydawała się niespokojna. Przytuliła do siebie plecak, prawie go spłaszczyła. Niewiele miała w nim dobytku.

– Renee – powiedział Travis. – Miło cię poznać.

Przez krótką chwilę dziewczyna sprawiała wrażenie zagubionej.